

Spory plak — ten Indyk

Uśmiełem się do łez na I-szym akcie „Indyka”, a w drugim plakalem ze śmiechu*). Nowa sztuka Mrożka stała się dawno nie, oglądanym sukcesem, mówiąc pospolicie bombą teatralną. Czyjaż w tym zasługa? Oczywiście Mrożka. Powie zaraz ktoś nieufny, że jako człowiek piszący — wysuwam stronniczo na czoło pisarza. I skarci mnie, bym się zastanowił lojalnie, czy nie krzywdzę teatru, czy aby równy udział w powodzeniu mieli reżyser, aktorzy, scenografowie? Bo twórczość dramaturga — proszęż kłutajka — konczy się — jak wiadomo — na scenie a nie przy biurku. Tak, tak światły przyzniku, ale gdyby nie Mrozek? Ba, przynajmniej, że Mrozek wyszykował nie lada bombę, ale któż jak nie teatr ją podpalił i sprawił, że wybuchła? No to może zgódźmy się krakowskim targiem: że niby pół na pół, co? Ale zaczniemy od pieca. Zgoda, próbuj pan, panie K.

Więc Mrozek i jego Indyk, w którym autor — że się tak wyrażę — odnalazł sam siebie, czyli własną formę sceniczną. A krakowskie teatry tak długo wzdragały się przed ryzykiem Mrożka, aż ten uciekł z Krakowa! Niedawno temu H. Vogler scharakteryzował w naszym piśmie twórczość Mrożka. Co by tu jeszcze wymyślić? Może to, że pod maską kpiarza kryje się bystry, nie w ciemnię bity intelektualista i wnikliwy psychoanalityk naszych czasów. A narzędzie i metoda tego sondowania dna są osobliwe. Sonda, czyli styl Mrożka stanowi jego wyłączną tajemnicę, jest przedziwnym stopem słów i zwrotów jak najbardziej codziennych — ba, wyświechtanych frazesów ale tak zestawionych, że nabierają niezwykłego wigoru komicznego i odślaniają ostry chwyt satyryczny. Albo — różne porządki logiczne ząbione wzajem, akumulują prąd komizmu i satyry. Albo — persyflaż cudzych stylów pisania i mówienia. I chociaż głównym atutem Mrożka jest ten właśnie styl literacki to okazuje się, że ma on niezwykły nerw sceniczny, szczególnie w dialogu o niespożytej dynamice. Mrozek nie konstruuje wprawdzie konwencjonalnej akcji, jednak pojedyncze, jakże żywe sytuacje składają się w kontrapunkcyjną całość, w wypadkową sekwencjami kontrastowych paradoksów. Podobnie ożywają postacie sztuki, jako przejawskrawione karykatury, podobne do masek komedii dell'arte.

Próbujmy spod tej orgii drwiny i udawanej naiwności odszkrobać jakiś sens. Jest nim choroba naszego wieku, w którym jednostka ludzka traci swą niezależność, a w końcu i rację istnienia. Postacie Indyka, wyjątkowo z jakiegokolwiek idei napędowej, toną w maniackalnej atonii woli, w marazmie i nihilistycznym anarchizmie. I to zarówno w odmianie inteligentkiej (Poeta) jak i prymitywnej (Kapitan, Chłopi). Hasłem dnia jest: „nic mi się nie chce”, a nurtującym marzeniem: „gdyby mi się tylko chciało”.

Można tę integralną psychozę poszerzyć w arcyppolskie zalenuwienie ducha. A polska to choroba i nie nowa. Wszak przed 60 laty obnażył ją Wyspiański w Weselu, którego współczesną repliką jest Indyk. Wszak to Czepiec mówił o weselnikach: „ino oni nie chomą chcieć!”. A jest w Indyku i Poeta-dekadent i satyra na „ludowość” czy na romantyczną pozę przekładaną pijaństwem. Jest nawet obłąkana gra na skrzypcach, przypominająca aż nadto melodie Chochola. Są i rozpaczliwe próby wydobyć się z bagna. Próbą tą jest w Indyku miłość romantyczna jako ostatni rezerwat indywidualizmu. Także i Księciu — reprezentującemu kłopoty i kryzys władzy — wydaje się miłość jedynym środkiem mobilizacji poddanych i ratunkiem w ospałości. Ale miłość ulega kompromitacji, jako chwilowy popęd, po którym para ludzka grzęźnie w obrzydzeniu dulszczyzny. Jedyną w tej „męskiej” sztuce kobieta jest „wietrzna istota”, mizdrzącą się po kolei do każdego, by w końcu uciec z przybłądą. Jeszcze ianna próba ratunku to Starzec-pustelnik, opętany ideą purytańskiego porządku, która to idea oczywiście też przegrywa. I nie zostaje — nic. Rzecz zdumiewająca: ten bezwyjściowy obrachunek nie jest — w odbiorze widza — tragiczny. Przeciwnie, budzi salwy śmiechu. Tylko drwina ratuje sytuację. Nikt nie wierzy w rzeczywistość obrazu.

*

Cały podtekst Indyka został inteligentnie odczytany, każdy pomysł Mrożka reżysero wysmakowany, jego komika jaskrawo podkreślona a postacie doprowadzone do niebywałej wyrazistości. Tak to zmobilizowano optycznie i pantomicznie chór wieśniaków. Tak zastąpiono wierszowaną parodię romantycznej opowieści — operową wampuką. I podobnie sypały się niezliczone pomysły, zorganizowane w rosnącym napięciu, aż w części II osiągnięto niebywałą frenezję komizmu. Najważniejszą zaobyczą przedstawienia jest jego jednolitość. Jednolitość tekstu i faktury sztuki, obrazu scenicznego i aktorstwa. W scenografii Skarżyńskich widać zasadnicze przeobrażenie. Jest nim powściągliwość kolorystyczna i rezygnacja z dotychczasowego wdzięku plastycznego oraz rozsypanych hojnie „wdzięków” — a ograniczenie się do jednolitego nastroju, do oszczędnej i lakonicznej przestrzeni z jedną metaforą: nudy i pijaństwa. Nie siliąc się na modne zniekształcenie i uduchowanie postaci, dali Skarżyńscy bardzo wyraziste w typie sylwetki; grające nadto plamami ubiorów na neutralnym tle. Osobno stojący pomost ze schodami wyodrębnił drugi plan gry. W całości — to scenografia bardzo organicznie związana ze sztuką zarazem interesująca jako próba jakiegoś ironicznego realizmu — właśnie w stylu Mrożka.

Nie wiem, czy Kapitana uczynił bohaterem sztuki — Mrozek, czy też

grający tę rolę J. Jabczyński, bo postać ta — trochę na wariackich papierach — dominowała w całym przedstawieniu. Jabczyński stworzył arcykomiczny a esencjonalny typ integralnego prostaka, zarazem żółtego w swej tępotcie „ostatniego nihilisty”, który rozpaczliwie nie chce nim być. Czysty żywioł aktorski objawił się w świetnej masce i dostosowanym do niej ujęciu oraz sposobie mówienia, w nieslabnącej dynamice roli i pewnym wyczuciu sytuacji. Wzorowa ta rola, na poziomie kreacji, jest chyba najpełniejszą wcielaniem komiki i humoru Mrożka. W ogóle cały zespół mówił i grał Indyka koncertowo. Niczego nie zmylonono, niczego nie uroniono, dożywając pełny smak sztuki. Kontrastowo w stosunku do Kapitana wprowadził L. Herdegen rolę Poety-dekadenta i jego absolutne zbławozowanie. Świetnie też mówił tekst na tonie nonszalanekim, monotony i jakby sennym a z pełną precyzją i zwrotnością umysłową. Również żywo wygrał Z. Piasecki wiecobe gadulstwo Księcia, podbiegnięte podskórnymi ciągotami despotyzmu. W. Ziętański pozował się z komiczną szarżą na zgrzmaszonego romantycznie Rudolfa, nie zapominając o naiwności tego nerwowego młodzieńszka. J. Haniszówna, której specjalnością są role kobiet fatalnych (Kleopatra, Czarująca szewcowa) rozwinęła w roli Laury pełny arsenał kokieterii i hysterii, właściwej — wiecznej kobiecości. Chór wieśniaków bawił komizmem raczej sytuacyjnym niż słownym.

A w ogóle to — pycha! Powtarzam: teatralna bomba! Lećcie obejrzeć!

*) Stary Teatr: S. Mroźka — „Indyk” w reżyserii L. Stomeczyńskiej. Scenografia Lidii Mhnicz i J. Skarżyńskiego, muzyka M. Mszczyńskiego.

Imię i nazwisko Michała